

Przebieg strajku i wypadki w Kasince Małej

Fragment pracy zbiorowej pod red. J. Kowala
pt. „W dwudziestolecie Wielkiego Strajku Chłopskiego 1937 – 1957”
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1957

Rok 1937 był dla ruchu ludowego rokiem historycznym. Wówczas bowiem połała się w Polsce obficie krew chłopska, a Stronnictwo Ludowe zdało egzamin dojrzałości politycznej.

W sierpniu tego roku władze naczelne Stronnictwa Ludowego ogłosiły strajk chłopski, który miał być manifestacją siły zorganizowanych mas chłopskich. Strajk ten rozpoczął się 16 sierpnia i miał trwać dziewięć dni.

Po ogłoszeniu strajku w naszej gromadzie, Kasince Małej, zwołaliśmy zebranie Koła SL, na którym omówiliśmy znaczenie strajku i wybraliśmy ludzi do obsadzenia placówek, których zadaniem było niedopuszczenie jadących do miasta. W naszej wsi były dwie takie placówki. Jedna na moście, pilnowała drogi prowadzącej do Lubnia, druga na granicy pomiędzy Kasinką Małą a Mszaną Dolną. Ta ostatnia miała nie dopuszczać produktów rolnych do Mszany.

Pierwsze dni strajku przebiegły spokojnie. Jednego dnia partol policyjny przeszedł przez Kasinkę i natknął się na te placówki. Policjanci nikogo wtedy nie zaczepili i wrócili spokojnie do Mszany. Jednak partol ten poinformował władze sanacyjne o tym, co widział w Kasince i władze miały odtań Kasinkę na oku.

Ja widząc, że strajk przebiega spokojnie, nająłem sąsiada i młóciłem z nim pszenicę. Byłem pewny, że prezes Widzisz z innymi kolegami z zarządu koła dają sobie radę, więc nie muszę tracić dla organizacji czasu, którego jej wiele poświęciłem w ciągu minionego szeregu lat.

Tak nadszedł dzień 23 sierpnia. Placówki stały na wyznaczonych miejscach. Pierwsza placówka, która stała na granicy z Mszaną, składała się z 4 ludzi. Był to kol. Kaczmarczyk z trzema kolegami z Łopusznego (jest to przysiółek Kasinki). Koledzy ci przyszli na swoje stanowisko już wczesnym rankiem. Druga placówka miała tego dnia więcej ludzi. Komendantem był kol. Józef Szczypka. Pierwsza placówka, która stała na granicy z Mszaną, trzymała się ostro i nie puszczała nikogo z Kasinki, ani do Kasinki. Nie przepuściła ona urzędnika, który w tym samym czasie szedł pieszo do Lubnia. Urzędnik zmuszony był zawrócić do Mszany. Prawdopodobnie spotkał się on z patrolem policji i ta dowiedziała się od niego, co go spotkało w Kasince. Niedługo potem około godz. 9.30 nadszedł samochód osobowy, zatrzymał się koło placówki. Z samochodu wyskoczyło zniemacka czterech policjantów i dalej pałkami po chłopach. Dwóch chłopów uciekło do olszyny, ale dwaj inni tak mocno zostali pobici, że ledwie doszli do domu. Następnie policjanci weszli do auta i pojechali rozpedzić drugą placówkę. Tam jednak nie poszło tak łatwo. Było tam więcej ludzi uzbrojonych w tęgie kije, więc nie tylko nie dali się rozpedzić, ale zaczęli nacierać na policję, która cofała się do tyłu, trzymając karabiny przygotowane do strzału. (Jeden z policjantów cofając się w tył wpadł do rowu i ledwo się z niego wydostał, gdyż chłop obrzucił go kamieniami.) Tak cofając się policjanci doszli do samochodu, którym odjechali do Mszany Dolnej. Pierwsza placówka była już zlikwidowana, a z drugiej ludzie po tej utarczce z policją rozeszli się do domów, bo prawie nadchodziła pora obiadowa.

Gdy prezes koła, kol. Widzisz, dowiedział się o tym, co spotkało obie placówki, dosiadł konia i pojechał do górnej wsi, aby zwołać zebranie i naradzić się, jak dalej prowadzić strajk. Tymczasem koło godziny pierwszej po południu nadszedł do wsi auto ciężarowe naładowane policją w hełmach, uzbrojona nawet w maski gazowe – słowem jak żołnierze idący na front. Auto zatrzymało się przy moście, gdzie stała druga placówka. Lecz tam nie było już nikogo. Policjanci w liczbie 29 wysiedli z auta i poszli do górnej wsi z wyjątkiem jednego, który pilnował samochodu.

W tym czasie prezes Widzisz z kilkunastu chłopami z górnej wsi szedł już na dół. Gdy policjanci zobaczyli chłopów idących naprzeciwko nich, zatrzymali się. Chłopi zaś ujrawszy policję porozmawiali chwilę z prezesem i ruszyli dalej w swoim kierunku.

Tymczasem gońcy, którzy rozbiegli się po wsi, aby zawiadomić ludzi o zebraniu, na widok policji zaczęli trąbić na alarm na długich własnoręcznie zrobionych trąbitach. Wówczas policja zawróciła, a chłopci też posuwali się za nią.

Gromada chłopów zwiększała się, bo ludzie zbiegali się zewsząd. Było też sporo kobiet, które szły na przedzie. W miarę zbliżania się do miejsca, gdzie nastąpiło tragiczne zajście, odległość między policją a gromadą chłopów zmniejszała się. Policja widocznie bała się tej chmary ludzi, którzy byli nastroszeni bojowo oraz wznosili okrzyki przeciwko policji i sanacji. Gdy ta gromada ludzi przechodziła obok osiedla Szczypki, wybiegł z osiedla Antoni Szczypka z okrzykiem „hurra” a za nim biegła jego żona Aniela trzymając w ręku potężną gałąź. Policjanci obawiając się widocznie, że ta gromada ludzi może ich napaść z tyłu, gdy doszli do dogodnego miejsca, rozwinęli się w tyralierę trzymając karabiny gotowe do strzału. Wówczas prezes, który jechał konno, wysunął się przed chłopów, kazał się im zatrzymać, a sam ruszył naprzód chcąc się dowiedzieć, czego chce policja. Jednakże chłopci parli naprzód ku policji, a kobiety na czele. Gdy zbliżyli się do policji na jakieś dwa kroki, kobiety, Zofia Mucha i Aniela Szczypka, uderzyły policjantów kijami. W tejże chwili nadciągnęli mężczyźni i jeden z nich, Franciszek Jakubiak, uderzył kijem w głowę jednego z policjantów. Na to stojący obok policjant uderzył kolbą w głowę Jakubiaka i zabił go na miejscu. Jednocześnie policja oddała salwę w tłum, od której zginęło na miejscu 4 chłopów.

Wówczas prezes Widzisz zeskoczył z konia i począł uciekać w pole. Policja jednak strzelała pojedynczo za upatrzonymi ofiarami i jedna z kul trafiła prezesa. Padł na ziemię lecz zerwał się i chciał biec dalej, a wtedy drugi strzał powalił go znowu. Nie był wtedy jeszcze zabity, lecz ciężko ranny. Po tej strzelaninie tłum rozbiegł się, a na miejscu zostali zabici i ciężko ranni.

Niedługo potem na miejsce wypadku nadszedł rowerem listonosz, Józef Rusnak, powracający ze swego rewiru. Policja zatrzymała go, a komendant oddziału kazał mu jechać do mostu, gdzie stało auto policyjne i zawiadomić szofera, by pojechał na miejsce. Listonosz wypełnił to polecenie, następnie wstąpił na plebanię, by ksiądz pospieszył wypowiadać umierających, a potem pojechał do domu.

Gdy auto policyjne przyjechało na miejsce wypadku, policjanci rzucili na nie kilka snopków pszenicy i zaczęli zbierać zabitych i rannych. Brali ich na karabiny jakby na drążki i rzucali do auta.

Nadbiegła wtedy żona prezesa Widzisz i chciała parę słów zamienić z rannym mężem, lecz policja nie dopuściła jej do niego. Zarówno ją, jak i inne kobiety, które chciały zobaczyć się ze swymi bliskimi, policja potraktowała brutalnie, odpychając je i kopiąc i nie zważając na to, że Widziszowa była wówczas w ciąży. Nie dopuszczono również Kunegundy Lipieniówny, która chciała obandażować rannych i w tym celu przyniosła ze sobą czystą koszulę swego brata.

Policjanci załadowali na auto 11 osób, tj. 4 zabitych, 5 śmiertelnie rannych i 2 lżej rannych. Gdy auto ruszyło z miejsca, przybył ksiądz z pociechą religijną dla rannych. Dawał on szoferowi znaki, aby auto zatrzymało się, lecz ten jedynie zwolnił trochę. Ksiądz musiał w biegu wgramolić się na auto, a po udzieleniu pociech religijnych rannym tak samo zejść, bo auto nie zatrzymało się ani na chwilę, tylko cokolwiek zwolniło biegu.

Zabitych i rannych zawieziono do Mszany na posterunek. W drodze ranni jęczeli, a żony płacząc biegły za autem. Nim dojechali do Mszany, zmarło dwóch rannych, jeden na posterunku, a dwóch w szpitalu z Nowym Targu, gdzie ich później zawieziono z Mszany. W wyniku tego tragicznego zajścia zginęło więc w Kasince 9 chłopów. Oto ich nazwiska:

Franciszek Widzisz lat 37 – prezes koła SL
Kucharczyk Władysław lat 27, prezes koła „Wici”
Płoskonka Andrzej lat 57 członek koła SL
Jakubiak Franciszek lat 36, członek koła SL
Cieżak Józef lat 36 , członek koła SL
Jakubiak Józef lat 24, członek koła „Wici”
Piwowarski Jan lat 50 , członek koła SL
Bolisęga Stanisław lat 25, członek koła „Wici”
Cyrek Franciszek lat 28 , członek koła SL

Dwóch ciężko rannych ludowców, Haras Sebastian i Szczypka Jan, leczyło się w szpitalu w Nowym Targu. Bezpośrednio po wyleczeniu ze szpitala zabrala ich policja do więzienia w Nowym Sączu, gdzie jeden przebywał dwa lata, a drugi 18 miesięcy. Lżejsze rany odniosło kilka osób. Leczyli się oni po kryjomu w domu, bo gdy policja dowiedziała się, że ktoś jest ranny, zaraz go aresztowała.

Jak już wspominałem, byłem zajęty w domu młocką i na miejscu wypadku nie byłem obecny. Gdy usłyszałem strzały, chciałem tam biec, lecz żona sprzeciwiła się temu stanowczo. Po jakimś czasie nadjechał listonosz Rusnak. Pytam go, co słyhać, a ten mówi: „masz szczęście, że młócisz, bo inaczej byłbyś tam na pewno i może leżałbyś zabity, tak jak tam leży czterech naszych chłopów”. Zapytałem wtedy listonosza, czy został zabity jaki policjant. On jednak powiedział, że nie wie, gdyż musiał na rozkaz policji prędko przejechać przez plac boju. Żał mi się zrobiło kolegów, którzy zginęli.

Niedługo potem obok mego domu przejechało auto policyjne, a za chwilę przemaszerowali policjanci. Byli zmęczeni, ale w wesołym nastroju, jak gdyby największą twierdzę zdobyli.

Po odejściu policji pobiegłem na miejsce wypadku. Po drodze spotkałem kol. Franciszka Szlagę, a na miejscu paru chłopów, którzy widzieli całe zajście. Pomierziliśmy odległość zabitych od policji i sporządziliśmy protokół. Gdy znaleźliśmy łuski od naboń, stwierdziliśmy, że policja strzelała kulami dum – dum. Potwierdziło to później badanie zwłok zabitych, gdyż rany wlotowe były małe, a rany wylotowe bardzo duże, takie jakie pozostawiają rozrywające się naboje.

Po dokonaniu tych czynności chcieliśmy o wypadku zawiadomić telefonicznie prezesa Zarządu Powiatowego SL. Na poczcie jednak nie chiano nas połączyć. Poszedłem więc do adwokata Panasia, skorzystałem z jego telefonu i opowiedziałem prezesowi o całym wypadku.

Nie mogliśmy wówczas ustalić daty pogrzebu zabitych chłopów, gdyż ciała ich zabrala policja.

Zwłoki pomordowanych przywiozła policja dopiero w nocy i zwała je na skraju cmentarza, skąd miejscowy grabarz i sąsiad przenieśli je do kostnicy. Tam dokonaliśmy oględzin zwłok, a następnie porozumieliliśmy się w sprawie pogrzebu z rodzinami i Zarządem Powiatowym SL.

Pogrzeb odbył się na trzeci dzień po zajściach, tj. 25 sierpnia. Wzięło w nim udział około 5 tysięcy ludzi, a byłoby ich niewątpliwie więcej, gdyby nie to, że długotrwałe deszcze spowodowały powódź, która ludziom z dalszych okolic uniemożliwiła przybycie do Kasinki.

Po pogrzebie zapanowała w naszej wsi cisza i przygnębienie. Gdy ktoś odważył się mówić o wypadkach, a doniosło się to do policji, zaraz go aresztowano. Życie organizacyjne również osłabło, a kilkunastu chłopów słabszego ducha wystąpiło ze Stronnictwa. Gdy w 1938 r. przeprowadziliśmy wybory do zarządu koła SL, nikt nie chciał być prezesem. Aby nie dopuścić do upadku organizacji, przyjąłem prezesurę i prowadziłem koło do wybuchu drugiej wojny światowej.

Tragiczne wydarzenia sierpniowe nie złamały jednak w chłopach ducha oporu wobec sanacji. Gdy jesienią 1938 r. przyszły wybory do Sejmu i nie było listy ludowej, chłopci z Kasinki je zbojkotowali. Na 1200 uprawnionych do głosowania oddano zaledwie 17 głosów. Głosowali tylko ci, którzy musieli.

Wojcech Jamróz

Kasinka Mała , w kwietniu 1957 r.